

***UCIECZKA ZA DRUTY, MARIA ANTONINA BONIECKA:***  
**FRAGMENT**

# DLACZEGO NIE NALEŻAŁAM DO PARTII

## ZARAZ PO WOJNIE

KAŻDY ubiegający się o wizę na stałą emigrację jest zapraszany do odpowiedniej ambasady na „rozmowę”. Australię w PRL reprezentuje oficjalnie ambasada brytyjska. Nasze starania o zezwolenie na wyjazd ciągnęły się od wielu lat i dom przy Alei Róż zdażyłam poznać jak najdokładniej, a szczególnie atmosferę tzw. poczekalni mieszczącej się w obskurnym, wilgotnym garażu.

Z reguły ze Szczecina do Warszawy przyjeżdżało się nocnym pociągiem i z dworca głównego szło się Alejami Jerozolimskimi, Nowym Światem, placem Trzech Krzyży do Alei Ujazdowskich. Podczas tej niespiesznej wędrówki storturowane wielogodzinna jazdą myśli nabierały jasności a w miarę przebywanej drogi wszystko poczynało się wydawać łatwiejsze i prostsze, by ostatecznie, gdzieś w okolicach kościoła św. Aleksandra, mogła, naprzekór absolutnej pewności że nie w ambasadzie, ale w UB ważyć się nasze losy, zatryumfować nadzieją pomyślnego tym razem załatwienia sprawy.

Na temat wspomnianych „rozmów” krążą przeróżne plotki i chyba stąd moje podniecenie, kiedy owego dnia znalazłam się w gromadzie czekających na otwarcie ambasady. O dziewiątej ponury dryblas w brudnym kombinezonie wpuścił nas bez słowa do poczekalni. Wpisałam nazwisko do wyłożonej na stole książki petentów i przysiadłam na rozpadającej się ze starości sofie. Było tu, jak zwykle, niechlujnie i za ciasno. Po kwadransie powietrze zbłękitniało od dymu i zrobiło się nieznośnie duszno. Kilka schodków wiodących w górę łączy garaż z ciemnym korytarzem; na tym, niejako drugim poziomie jest kasa i gabinet przyjęć, nieco dalej korytarz załamuje się pod kątem prostym i tam są właściwe pomieszczenia ambasady, tyle że my, ludzie czekający na promesy i wizy, nie docieraliśmy do nich nigdy. Co pewien czas u szczytu schodów staje tłumaczka i wywołuje nazwisko.

Czekający dzielą się na grupy: nielicznych spokojnych, załatwianych w pierwszej kolejności, bez względu na czas przyjścia, wyjeżdżających służbowo i resztę – właśnie starających się, zatroskanych, podekscytowanych, stare kobiety spod Nowego Targu i Rzeszowa, młodzieńcy w modnych ciuchach z Krakowa i Szczecina, dziewczęta z Łodzi, małżeństwa z Wrocławia i Opola. Początkowe szepty rosą w gwar, zmęczone dzieci popłakują, ktoś chrapie usnąwszy z otwartymi ustami, kobieta w żałobie szlochając zapewnia żarliwie że jedzie tylko na pogrzeb i natychmiast wraca.

- Trzeba mówić prawdę, murowaną! Skłamięs – koniec pieśni. Już oni tam wszystko wiedzą. Słyszałaś jak było z Królikiewiczem? Zapytali, gdzie był i co robił w 1945 r., i tu stary szabrownik przechytrzył, pracował na kolei tu i tu, poświadczyć mogą tacy a tacy – wtedy mu wygarnęli, ten już nigdy wizy nie dostanie. Więc jak co do czego – tylko prawda... – przypominałam sobie dość chaotycznie uwagi i rady zorientowanych w praktykach ambasady. Tylko i wyłącznie prawda. Oni wiedzą wszystko. Mów prawdę.

Koło południa usłyszałam swoje nazwisko. W pokoju zastawionym gratami i skrzyniami siedział naprzeciw mnie starszy pan, obok niego tłumaczka. Krwistą, pospolitą twarz mężczyzny zdobiły niemodne wąsy, wydawał się znudzony, ona też.

Wreszcie, po nic nie znaczących pytaniach, padło:

- Do partii pani należała?

- Nie – i nim zdążyłam o czymkolwiek pomyśleć, tłumaczka wyrecytowała monotonicznie:

- Czy proponowano pani wstąpienie do partii?

Namysł trwał ułamek sekundy, ale ten czas wystarczył, aby obudzona czujność zaczęła swe automatyczne działanie.

- Tak.

- Ile razy?

Nie wiem dlaczego, ale nagle wydało mi się że na zadawane pytania trzeba odpowiadać natychmiast i że tylko ten pośpiech się liczy. Myśl zaczęła przeskakiwać zygzakiem od twarzy do twarzy, od daty do daty. Zaczęło się od Klubu Literatów w Sopocie w 1945 r., to byłby raz,

następnie – Szczecin: aktor Nowacki, Borkowicz; koledzy literaci: Witold Wirpsza, ówczesny kierownik wojewódzkiego wydziału kultury i sztuki, Gałczyński i Andrzejewski, w 1955 r. W rozgłośni – Dauksza i Nina Rydzewska i pamiętne rozmowy z sekretarzem Krasuckim i ministrową Skrzyszewską ...

Oczy naprzeciw mnie, niebieskie i nieco wypukłe wydają się oczami bez żadnego wyrazu, cisza przedłuża się, wspomnienia mętnieją. Coś mi się poplątało, nawyk czujności dyktuje ostrożność.

- Już nie pamiętam dokładnie, jakieś pięć razy, może siedem razy – zamykam rachunek możliwie swobodnym głosem. Niebieskie oczy nakryły się powiekami, odetchnęłam, zaczęłam pilnie oglądać mur zacieniający okno. Naraz ręka pytającego sięgnęła do podręcznej kartoteki, przegarnął kartoniki, jeden wyjął.

- Istotnie, zapominała pani, propozycji było więcej, tak, w porządku. A dlaczego nie wstąpiła pani do partii?

Skąd on wie? Kto dostarcza ambasadzie tego rodzaju danych? „Oni wiedzą wszystko” ... czyżby jakieś dyplomatyczne powiązania z UB? O co jeszcze zapyta? „Tylko i wyłącznie prawda” ... Dlaczego nie wstąpiłam do partii?

- Główną przyczyną były i są różnice światopoglądowe, jestem wierzącą – potknęłam się, ale natychmiast podjęłam dalsze niewiele mówiące wyjaśnienia. Tłumaczka i jej szef tkwili na swych miejscach nieporuszenie, apatyczni i obcy, nie ciekawi ani mnie, ani moich słów.

Dlaczego nie wstąpiłam do partii? To, co na przestrzeni ostatnich dwudziestu lat mego osobistego życia i życia moich najbliższych, mimo niekiedy wręcz tragicznych sytuacji nie stanowiło żadnego problemu, stało się nim niejako automatycznie wobec najprościej i jednoznacznie sformułowanego pytania. Przyuczona do bezbłędnych uników, zmieściłam odpowiedź w kilku sloganach, ale problem pozostał.

Dlaczego nie wstąpiłam do partii, dlaczego nie wstąpiło do niej setki milionów ludzi żyjących w ustroju komunistycznym? Wiele milionów Polaków, wyrzekając się tym samym tzw. szansy, przywilejów, ułatwień i możliwości? W pierwszym okresie, pomijając względy szczególne, poważny wpływ na tego rodzaju decyzje miały: skrupuły

moralne, tradycje historyczne, zdolność logicznego myślenia i żarliwa nadzieja że sytuacja ogólna ulegnie szybkiej zmianie, w okresie późniejszym zaś – coraz głębsze nastroje apatii, obojętności i znużenia. Stany te są nieuniknionym następstwem wieloletniego działania głównych atrybutów władzy komunistycznej: bezwzględności, nie cofającego się przed żadną zbrodnią terroru, zakłamania, fałszu, intryg, wzajemnego oskarżania się i brutalnego szantażu, niszczących bezwzględnie i w sposób trwały każdy system moralny, degenerujących zarówno jednostki jak i całe społeczeństwa. Nierzadko też przeszkodą główną jest mniej lub więcej świadomy protest ludzkiej natury przeciwko nieustannemu gwałceniu wolności. W systemie komunistycznym, w którym arystokracja partyjna dzierży do dziś, mimo wszystkich pozornych zmian, absolutną władzę, pojęcie wolności – nie istnieje, więcej, w ustroju tym pod żadnym pozorem nie wolno ci być sobą, wszelka indywidualność zostaje zniszczona, myślisz, czujesz, żyjesz – na rozkaz partii, dla partii.

*Przestaliście być sobą. Jesteście bezimienni ...Ten, kto walczy o komunizm, musi nauczyć się walczyć i rezygnować z walki, mówić prawdę i ukrywać ją, pomagać i odmawiać pomocy innym, dotrzymywać, stawiać czoło niebezpieczeństwu i unikać go, dać się poznać i umieć pozostawać w cieniu. Ten kto walczy o komunizm, posiada tylko jedną cnotę: walczy o komunizm.*

(Bertolt Brecht: „Wymiar kary”)

Jak to się dzieje że człowiek może istnieć – rodzić się i umierać, pracować, wychowywać następne pokolenia w systemie, którego podstawą jest gwałcenie natury ludzkiej? Przystosowanie? Ów przemożny instynkt dążący do zachowania gatunku bez względu na warunki? W ogromnej mierze – tak. A oto kilka typowych wypowiedzi na ten temat:

- Po prostu nie mam czasu się nad tym zastanawiać.
- Ano, jakoś się żyje ...głową muru nie przebijesz.
- Najważniejsze cicho siedzieć, nie zwracać na siebie uwagi, nie nadstawiać się, o nic nie pytać, niczemu się nie dziwić.

- Nauczyłam się po prostu każdą sprawę zostawiać jej własnemu biegowi, już się tam wszystko samo jakoś rozwiąże.

Jedni są już starzy, zmęczeni, osowiali, inni, a jest ich bardzo wielu, są sterroryzowani strachem. Strach jako stan trwały prowadzi do groźnego zjawiska tzw. znieczulicy, a niekiedy wprost do zamartwicy moralnej.

Działanie strachu w ustroju komunistycznym stało się od dawna funkcją automatyczną. Ludzie się boją. Boją się wszystkiego i o wszystko: utraty posady, mieszkania, odmowy zezwolenia na wyjazd za granicę, nieprzyjęcia dziecka do szkoły, utraty dodatkowych zarobków, skreślenia z listy kandydatów na wczasy, utraty obiadów w lepiej zaopatrzonej stołówce, cofnięcia stypendium czy renty, boją się nauczyciela i kolegów-denuncjatorów, majstra i kierownika, współlokatora i sąsiadów, milicjanta i prokuratora, bliższych i dalszych znajomych, sprzątaczkę i kelnera, pracownika poczty, uczniów, własnych dzieci i współmałżonka.

To strach robi z ludzi bluźnierców, donosicieli, prowokatorów, albo podłych tchórzów.

Z psychozą strachu zetknęłam się bezpośrednio i w czasie toczącego się przeciwko mnie procesu w 1957 r. i później, kiedy to komitet wojewódzki partii, milicja obywatelska i Urząd Bezpieczeństwa przystąpiły już zupełnie jawnie do ostatecznej likwidacji mnie nie tylko jako pisarza, ale i człowieka, ogłaszając oficjalnie „wrogiem Polski Ludowej”. Odpowiednie ministerstwa, Związek Literatów, prokuratura, sąd, niezliczone instytucje i organizacje, w których zabiegałam o pomoc i opiekę – zachowały pełne milczenie, a przyjaciele, sąsiedzi, czytelnicy i słuchacze podzielili się na dwie grupy: jedni wystąpili przeciwko mnie, reszta przestała mnie znać.

Podkreślić wypada że przypadek mój nie jest czymś wyjątkowym, przeciwnie, nosi cechy jak najbardziej typowe, tym bardziej iż rzecz dzieje się na prowincji, w środowisku marginesowym, ubogim intelektualnie, gdzie przedstawiciele partii i władz administracyjnych to w swej masie ćwierćinteligenci reprezentujący do dzisiaj skrajny konserwatyzm stalinowskiego typu. Podobnych sytuacji, w których przebiegu miażdży się ludzi, a nierzadko całe ich zespoły, było i jest setki i tysiące.

Jedni boją się tego co ich może spotkać doraźnie, inni tego co może przynieść jutro, a wszyscy i nieustannie boją się wypchnięcia z miejsca, jakie zdołali sobie wywalczyć w istniejącym układzie stosunków. Jeszcze jedna typowa wypowiedź, któregoś z mych rozmówców:

- Przeżyłem Oświęcim, nauczyli mnie cenić życie i będę o nie walczył, żeby tam nie wiem co.

Walka o życie w komunizmie to walka o jak najlepsze miejsce w istniejącym układzie stosunków. Najlepsze miejsce – oto realny cel i ambicja życiowa niezliczonej rzeszy obywateli.

Praktycznie rzecz biorąc, najpewniejszą i najkrótszą drogą wiodącą do owego miejsca jest wstąpienie do partii.

Drogę tę wybiera wielu. Znam osobiście profesorów wyższych uczelni, którzy wstąpili i wstępują dziś do partii za cenę awansu z prorektora na rektora, z profesora nadzwyczajnego na zwyczajnego, albo za przydział mandatu poselskiego, albo za trzymiesięczny pobyt za granicą, przydział mieszkania, uzyskanie rozwodu; znamy pisarzy i naukowców w randze światowej, zasłużonych przedwojennych oficerów, nauczycieli, lekarzy – obwołujących się dziś żarliwie aktywistami partyjnymi, służących partii, ba, afiszujących się dodatkowo swym rzekomym ateizmem, pogardą dla naszej historycznej przeszłości czy nienawiścią do emigracji. Znam księży nie tylko pogodzonych z ... „historycznie uwarunkowaną rzeczywistością”, ale głoszących hasło „harmonijnej współpracy z partią i rządem” z ambon, konfesjonałów i na lekcjach religii. Znam wreszcie cały legion ekspedientek, robotników rolnych i przemysłowych, ludzi starych, studentów i uczniów, o ileż mi bliższych, bo mniej zakłamanych, którzy miast deklamować o „racji stanu”, albo „biologicznych prawach do życia” wyjaśniają swą decyzję krótko: „śmierć frajerom!”

Tak to z czasem, pod wpływem warunków życia w ustroju komunistycznym wykształcił się przeciętny typ członka partii. Jest nim: zdecydowany karierowicz i asekurant, człowiek bez żadnych absolutnie skrupułów, cyniczny i wyrachowany, mierzący daleko w przyszłość.

Dość symptomatyczny jest fakt że ogół towarzyszy nie afiszuje się zbyt przynależnością do partii, i to nie tylko wtedy, kiedy władze

zlecają konspirację dla uprawiania infiltracji i prowokacji. Czy powoduje nimi resztką ludzkiej godności, wstyd, uczucie upokorzenia, czy po prostu instynkt samoobrony?

Ale spotykałam i takich, co poprzez przynależność do partii czuli się wyróżnieni, awansowani, i podkreślali to z naciskiem przy każdej sposobności. Było ich znacznie więcej w okresie do lat 1952/53, kiedy to mimo skrajnej brutalności działania i prymitywizmu programu była partia dla wielu istotnym symbolem władzy, a równocześnie wykładnikiem jej realnej siły: darzyła niezliczonymi przywilejami, zapewniała pełną opiekę i bezpieczeństwo, bezkarność i współdziałał w rządach.

Wtedy wiadomo było dowodnie że sekretarz komitetu, od wojewódzkiego do gminnego, był na swym terenie najwyższą, absolutną władzą, że pierwszy lepszy szeregowy towarzysz, dopóki władzom podobało się go tolerować, mógł prawie wszystko pomyślnie i szybko załatwić i to nie tylko sobie, ale i temu komu chciał, albo komu się opłacało, od przydziału mieszkania i odpowiedniej posady, poprzez kupno aparatu radiowego czy roweru aż do pogrzebania w upatrzonej kwaterze cmentarza<sup>1</sup>), przy czym jak już wspomniałam, w praktyce nie podlegał poza partyjnymi, żadnym sądom i wyrokom.

---

<sup>1</sup> Znam w tej mierze przypadek dość niezwykły z uwagi na osobę zmarłej śp. Stefanii z Zieleńczyków Baczyńskiej, żony prof. Stanisława Baczyńskiego, zmarłego w 1939 r., matki wybitnie utalentowanego poety Krzysztofa Kamila Baczyńskiego – żołnierza A.K. poległego w powstaniu warszawskim. Pani Stefania (której byłam uczennicą i serdeczną przyjaciółką), zasłużony pedagog, autorka pięknych książek dla dzieci, wielokrotnie wyrażała życzenie spoczywania po śmierci obok uwielbianego syna, którego zwłoki po wielu miesiącach tragicznych poszukiwań udało się jej wreszcie odnaleźć i ekshumować na Cmentarz Wojskowy na Powązkach.

Dramat zaczął się wraz ze śmiercią pani Stefanii, okazało się bowiem że miejsca na Cmentarzu Wojskowym są „zastrzeżone” i nie ma mowy o obejściu przepisu. Odwołano się do wszystkich możliwych instytucji i władz z ministerstwami włącznie, poruszono pół Warszawy. Koszmarne dni mijały ... i wtedy właśnie okazało się co może, jeśli chce, towarzysz partyjny: w ciągu godziny wszystko, jak najformalniej załatwił,



Organizująca się dopiero partia, mnożąc pośpiesznie swe nieliczne szeregi, nie przebierała zbyt. Trzon jej stanowili ludzie tacy jak Konstantin Rokossowski, Bolesław Bierut, Walter-Świerczewski, koledzy Jerzy Putrament i Adam Ważyk, towarzysze Kraśko, Zawadzki, Józwiak, Różański, Berman, owa wysoko kwalifikowana kadra specjalistów wszystkich dziedzin, troskliwie wyszkolona w Związku Sowieckim, ale obok dość było miejsca dla wszystkich chętnych. A kogo tam nie było wśród owych chętnych. Przestępcy kryminalni i polityczni, kolaboranci i volksdeutsche, znani powszechnie zbrodniarze wojenni, skompromitowani policjanci, obozowi kapo, szabrownicy, prostytutki, pospolici złodzieje, oszuści i szantażyści, alfonsi, ale obok szumowin znaleźli się i ludzie rozgoryczeni, zawiedzeni, i ludzie z kompleksami, i skrzywdzeni, i ideowi działacze i społecznicy, i marzyciele, i tacy, którzy wierzyli szczerze w komunizm.

Bo mimo wszystkich subiektywnych oporów musimy się pogodzić z tym że komunizm, jego idea, dla wielu rozczarowanych w stosunku do Europy i świata był nadzieją nie tylko początków XX w., ale i z tym że magia słowa „komunizm” do dziś urzeka miliony ludzi od niepiśmiennego chłopca włoskiego poczynając, a na wyrafinowanych intelektualistach francuskich i amerykańskich kończąc, bez względu na niezliczone, niezbite dowody że idea ta zastosowana w praktyce jest czymś najokrutniejszym w dziejach ludzkości.

Do takich „uręczonych słowem” zaliczyłabym część kolegów-członków Klubu Literatów Wybrzeża zorganizowanego na terenie Trójmiasta zaraz po wojnie. Byli to na pewno ludzie uczciwi, dobrzy Polacy, tyle że skłonni do iluzji. Pamiętam nasze spotkania na tzw. czwartkach, w Sopocie pod koniec 1945 r. w przemiłym, gościnnym domu Gigi Kochanowskiej.

Po raz pierwszy wstąpienie do partii zaproponowała mi Ika Zyskind – członek Klubu, dziennikarka i pianistka. Ika była człowiekiem niezwykle prostolinijnym i dlatego jej bezpośrednia oferta nie zaskoczyła mnie w najmniejszym stopniu.

---

nikomu bliżej nieznanym, skromnym sekretarzem tzw. Organizacji podstawowej – za śmieszna sumę 500 zł.

- Mario, chcę wprowadzić cię do partii, już rozmawiałam o tobie z sekretarzem komitetu miejskiego. Myślę że nie muszę ci dowodzić, czym jest komunizm, co niesie światu. Oczywiście, ludzie zdolni są splugawić wszystko, ale przecież nie o to chodzi, tylko i jedynie komunizm otwiera przed ludzkością perspektywy nowego, lepszego życia...

B. major i ziemianin, kol. Cz., liryk i tłumacz poezji, patriota i społecznik, apelował do mego rozumu:

- Pomyśl trzeźwo, rzeczywistość jest faktem niewzruszonym, chodzi o jedno, nie wolno dopuścić do rządzenia nami bez nas. Komunizm nie znosi profanów. Zrozum, tylko nasza obecność w partii może zagwarantować wartość jej poczynań. Prasa, radio, teatr, kto to ma kształtować? Stoczniowcy, kolejarze? To jest nasz święty obowiązek. Musimy wtargnąć do partii tłumem, jak jeden mąż, właśnie my – pisarze, intelektualiści, by wcielić w życie tę jedyną ideę świata. Nie wolno być obojętnym, wystarczy że masy są obojętne.

Z podobnych pozycji zgłaszali swoje propozycje dr. Antonina P. i Janusz R. Dlaczego wtedy nie wstąpiłam do partii, wtedy, kiedy nie budziła jeszcze, ostrożna, bo niezupełnie pewna swoich sił, powszechnej grozy, kiedy po okrutnych przeżyciach czasu okupacji i powstania wydawało mi się, jak wielu innym, że na przekór wszystkim patetycznym słowom i gestom – najważniejszą sprawą jest zachowanie życia?

Na ogół skłonni jesteśmy oceniać społeczeństwo jako zespół ludzi wyrobionych politycznie, tymczasem ci wyrobieni to tylko nieliczna grupa, olbrzymia reszta istotnymi sprawami państwa interesuje się mało, albo wcale, stąd utrzymywanie się władzy danego systemu odbywa się najczęściej na mocy kredytu obojętnych. Zdawałam sobie z tego sprawę i nie poddając się ogólnej inercji usiłowałam zdobyć przynajmniej czas na obiektywną ocenę dokonywających się wokół mnie procesów.

Polska znalazła się pod okupacją sowiecką – to był pewnik. Nie ufałam wszystkiemu co było stamtąd kolportowane, a zatem i ich komunizmowi, więcej, czułam do nich i ich spraw nieprzezwyciężoną odrazę graniczącą z obsesją. Emocje? Na pewno, ale od początku podbudowane realiami: pokolenie moje znało przecież z nieodległej historii straszliwy dramat rewolucji październikowej, istniały krwawe

rzędy Lenina-Stalina oparte na nieprzerwanym działaniu osławionych sowieckich organów bezpieczeństwa, a dla nas, Polaków, istniały jeszcze i takie daty jak: 1920 i 1939, istniały realnie i Katyń, i łagry, i powstanie warszawskie.

Wyznanie Pabla Picassa: „Szedłem do komunizmu, jak idzie się do żywego źródła” – budziło we mnie gwałtowny sprzeciw, pogłębiany co dnia przez nieodpartą logikę faktów będących funkcją działania tegoż komunizmu. W odwiecznym dramacie konfliktów polsko-rosyjskich mieścił się i dramat mych najbliższych, kształtował się mój los.

Mój dziadek ze strony matki Wincenty Bulzacki, ur. W 1843 r. był powstańcem w 1863 r., cztery wujowie mej matki: Józef, Teodor, Florian i Antoni Koskowscy, również powstańcy, zostali powieszani przez Moskali, mój ojciec, wywieziony w głąb Rosji w 1915 r. jako „niebłagonadiożnyj”, zmarł na wygnaniu w wieku 33 lat, mój mąż, będąc chłopcem, wraz z całą rodziną przez wiele lat tułał się po Syberii, mój cioteczny brat, wreszcie, por. Stanisław Lisowski, zginął w Katyniu.

Osobiście z obywatelami sowieckimi zetknęłam się dopiero pod koniec wojny, raz we wsi podłowickiej i nieco później w Gdańsku.

Oto fragmenty do dziś straszących wspomnień:

W lodowatej izbie, na glinianej podłodze śpi kilkunastu śmiertelnie zmęczonych żołnierzy, których oddział, maszerujący pospiesznie przez Łowicz i Kutno na Berlin, zatrzymał się we wsi na krótki wypoczynek. O północy do izby wchodzi młodziutki dowódca plutonu, przyniesioną latarnię ustawia ostrożnie na stole, i niespiesznie, nikogo nie omijając, bez słowa, kopie śpiących w brzuchy i głowy, budząc ich w ten sposób do dalszego marszu. Kopał podkutym obcasem, metodycznie, z pełną satysfakcją. Albo: od chałupy do chałupy błądzi żołnierz-ślepiec. Szuka swego oddziału. Twarz nieszczęśliwego, o zamkniętych wklęsłych powiekach zrobiła na mnie wrażenie maski, był wychudzony i, mimo zimy, na pół nagi.

- To i was wzięli do wojska, jakże to?

- Wsiech bierut, Krasnaja Armia dołżna imiet' mnogo żołdat – wyznał pokornie.

Na koniec w Gdańsku, w kilka miesięcy później: przyszło ich dwóch; poza mną i moją maleńką, bardzo chorą córeczką, w mieszkaniu nie było nikogo. Nie wiedziałam o co im chodzi, bo języka rosyjskiego prawie nie znałam. Żyliśmy wówczas w skrajnej nędzy i właściwie jedyną cenną rzeczą, jaką posiadałam, była para wojskowych butów kupionych przed kilku dniami na rynku. Żołnierze byli pijani. Jeden wyrwał mi dziecko, drugi usiłował przewrócić. Zaczęłam rozpaczliwie wzywać ratunku.

- Mołczy, job twoju mat'!

- Ubju kak sobaku, tut twoja mogiła!

Sine od krzyku niemowlę smyrgnął w kąć i błyskawicznie wyrzucił mnie kolbą karabinu w głowę, po czym ogłuszonej ciosem obydwaj ściągnęli z nóg wspomniane saperki. Przy sposobności ukradli stary ręcznik, pędzel do golenia i zupełnie bezwartościowe ramki, z których fotografię podarli i wyrzucili.

Pamiętam tamto słoneczne październikowe południe, jakby to było wczoraj, pamiętam je zresztą nie tylko dlatego że spotkania z małymi kanałiami ludzkimi zawsze wywoływały we mnie wstrząs, ale i dlatego że zrozumiałam powody, dla których żaden z sąsiadów, mimo że wielu słyszało mój krzyk, nie pospieszył mi z pomocą, dlaczego w popłochu opuścili swe ogródki – już wtedy zaczął działać kompleks tchórza i zasada kreowana dziś na powszechnie obowiązujący dogmat: „nie mój interes – nic mi do tego”.

Niewątpliwie poważny wpływ na mój stosunek do partii miały również pierwsze publiczne wystąpienia propagandy komunistycznej skierowanej brutalnie przeciwko Polsce Walczącej, tym bardziej że i ja i mój mąż byliśmy żołnierzami AK. Natychmiast po wejściu do Warszawy oddziałów wojskowych, w lutym 1945 wzdłuż ulic i dróg, we wszystkich możliwych miejscach rozlepiono olbrzymie afisze sławiące męstwo Czerwonej Armii. Smok faszystowski ginie pod ciosami doskonale odżywionego żołnierza sowieckiego, powiewającego czerwonym sztandarem na tle podobnie czerwonych, półkul globu ziemskiego udekorowanych sierpem i młotem, ale równocześnie, gęsto umieszczone

inne, natrętnie wołające do przechodniów: HAŃBA BANDYTOM Z AK – SŁUGUSOM HITLERA i jeszcze inne, z barwnymi rysunkami i tekstem: AK ZAPLUTY KARZEŁ IMPERIALIZMU, czy na plugawych mackach ośmiornicy trzymającej w śmiertelnym uścisku Polskę – GESTAPO SS POLIZEI MSZ AK.

W czerwcu rozpoczął się w Moskwie proces szesnastu, na którym, żeby nie było już żadnych niedomówień, cały świat usłyszał oficjalną ocenę Polski Walczącej: „nikczemni zabójcy z za węglą”, „ślepe krety podziemia”, „sługusy imperializmu”, „niepoczytalni zdrajcy swego narodu i swej ojczyzny”. Równoległe do propagandy zaczyna, współpracując ściśle z NKWD, działać Urząd Bezpieczeństwa: wykańcza masakrę naszych oddziałów, przeprowadza masowe aresztowania, stosuje tortury i deportacje.

Partia przenika coraz głębiej wszystkie bez wyjątku dziedziny życia.

Dziś z perspektywy czasu, wydaje mi się że w tym pierwszym okresie mimo wszystko kierował mną instynkt, który dopiero później logika co dnia doświadczanej rzeczywistości sublimowała na w pełni świadomy akt woli.

## **DALSZE PROPOZYCJE – LUDZIE I FAKTY**

Decyzję osiedlenia się w Szczecinie podjęliśmy w popłochu. W połowie lutego 1945 wróciliśmy z obozu małszyckiego do Warszawy, a już w czerwcu natknęłam się po raz pierwszy na „Boksera”, człowieka, z którym przez pewien okres pracowałam w konspiracji, przekazując mu na zlecenie kierownictwa, w pewnych okolicznościach szczególnie kompromitujące mnie materiały. „Bokser”, którego prawdziwego nazwiska nie znam do dziś, wchodził do bramy domu przy ulicy Mokotowskiej, zajmowanego od niedawna przez Komitet Dzielnicowy Partii. Po tygodniu zostało ustalone że „Bokser” – tow. Sołtys – jest jednym „ze szczególnie czynnych, ofiarnych aktywistów”. Przekazując mi informację zalecono równocześnie jak największą ostrożność. Tego samego dnia opuściliśmy Warszawę i dopiero po dłuższym tułaniu się postanowiliśmy zamieszkać na stałe w Sopocie. Na skutek fatalnego

zbiegu okoliczności, w pięć miesięcy później, na sekretarza propagandy przy KW w Gdańsku, zostaje delegowany z Warszawy tenże tow. Sołtys. Przyznaję że uległam panice. Przenieśliśmy się natychmiast do Szczecina, ale i tu, przez wiele lat, mimo iż nic nie wskazywało na to że zostałam rozpoznana i zadenuncjowana, nie umiałam się pozbyć męczącego uczucia bezpośredniego zagrożenia.

Ostrożność podyktowała nam wyszukanie mieszkania w odległej dzielnicy miasta, ostrożność skierowała mnie do wyjątkowo pod każdym względem nieefektywnej w owym czasie pracy w szkolnictwie.

Pierwszym wojewodą („przewodniczący rady wojewódzkiej” to był tytuł późniejszy) szczecińskim był płk. Leon Borkowicz, Żyd, niewątpliwie zdolny i zaradny administrator. Mówiono o nim z przekąsem że zarówno rangę jak i tytuł towarzysza zdobył w Moskwie, ale i dodawano lojalnie: „mimo wszystko to dość uczciwy człowiek” (i chyba nim był naprawdę, bo rychło utracił znaczenie w partii, lądując ostatecznie na mało intratnej placówce w Czechosłowacji). Wszyscy natomiast wiedzieli że na Wałach Chrobrego<sup>2</sup>) rządzi jak absolutny monarcha, klnie jak prawdziwy żołnierz, a co najważniejsze, różnych świntuchów i kombinatorów tępi bez litości, niewiele sobie robiąc z ich możnych warszawskich protektorów.

Wkrótce po przyjeździe dostałam oficjalne wezwanie do województwa. Borkowicz rozmawiał ze mną nie dłużej niż dziesięć minut, przy czym okazało się że wiedział o mnie to i owo.

- Cieszę się że jesteście w Szczecinie, potrzeba nam ludzi. Jak się urządziliście? Może potrzebujecie jakiejś pomocy? Zadowoleni jesteście z mieszkania, z posady? Partia może wam niejedno ułatwić. Możecie się do niej śmiało ze wszystkim zwracać.

Podziękowałam, czekając co jeszcze powie. Swoim zwyczajem powiedział, co myślał nie bawiąc się w żadne subtelnosci:

---

<sup>2</sup> Piękny bulwar nad Odrą, przy którym mieszczą się gmachy wojewódzkiej Rady Narodowej.

- Ja wiem, siedzi w was kawał śmierdzącego mieszczaucha, co to nie wie: wewte czy wewte, ale pomału się go pozbędziecie, partia wam pomoże, a i wy się nam przydadcie. Tak, to tak. Nie ma co się za długo namyślać, idźcie, chociaż zaraz, do KM, albo, jak wolicie, prosto do KW, w razie czego powołajcie się na mnie i załatwcie co trzeba. Im prędzej, tym lepiej...

Uczepiłam się dialektycznych łamańców, zaczęłam kluczyć wśród „obiektywnych trudności, sytuacji rodzinnej” itp., aż stracił cierpliwość i uciał opryskliwie:

- To wszystko koszałki-opałki, ale – róbcie sobie, jak chcecie, powiem wam tylko jedno, pewnego dnia może być za późno.

Zupełnie inna, ale też wolna od hipokryzji, ludzka, taka, po której nie czułam upokorzenia i wstrętu do samej siebie, była, o wiele późniejsza, moja rozmowa z Gałczyńskim...

[Przedtem był tzw. Warszawski Zjazd Literatów i osławiony atak tow. Adama Ważyka i pokajanie się Konstantego i jego żalosne nawrócenie się na wiarę partii. †]

Gałczyńskiego poznałam u Zofii D., z którą pracowałam w jednej szkole. Panią Zofię łączyły bliskie stosunki z poetą i jego przyjaciółką (była chrzestną matką ich syna) w okresie wspólnego pobytu w latach okupacji w Niemczech. Coś z tych sentymentów zostało, bo ilekroć Konstanty zawadził o Szczecin, zawsze ją odwiedzał. Tym razem przyszedł późno i już dobrze wstawiony, zresztą był to ten okres, w którym upijał się niemal błyskawicznie i na ponuro.

Przez kwadrans opowiadał z zachwytem o magnoliach kwitnących właśnie w Szczecinie i pił przyniesioną śliwownicę małymi łykami, jak lekarstwo, następnie osowiał, nie chciał niczego zjeść, nie chciał kawy, nie chciał słuchać pełnych szczerzej troski uwag D.

- Ty Zośka, jesteś dobra na każdy czas, ja wiem, nawet na taki, w którym się morduje ludzi, ale nie na ten, w którym morduje się Boga, i dlatego się nie wtrącaj.

Naraz, jakby się ożywił, pewnym ruchem sięgnął do wewnętrznej kieszeni marynarki i zademonstrował nam, fakt w stosunkach partyjnych wręcz niebywały, malutką, czerwoną legitymację oświadczając uroczyście:

- Już nie jestem samotny, już nigdy nie będę samotny, mam towarzyszy! – i natychmiast zwrócił się do mnie z pytaniem:

- A jak jest w wami, koleżanko Mario, wy chcecie zdechnąć? Chcecie czy nie chcecie? Chcecie, chcecie...?

Głos miał ochryply, włosy pozlepiane potem, wyglądał na człowieka bardzo nieszczęśliwego. Żeby go nie denerwować, zapewniałam z całą powagą że za nic w świecie nie chcę zdechnąć. Przez jakiś czas sobaczył bezosobowo, później, wymachując tuż przy mojej twarzy swoją legitymacją zaczął monologować:

- Myślisz że bez tego uda ci się nie być świnia? Pod ziemią cię znajdują i ześwińtuszają, dziecino. Bo nie masz tu nic do gadania, niczego nie wydumasz... Właśni bracia cię ukrzyżują i octem napoją... Partia to moja tarcza i mój miecz, noszę na swoim czole, na swoich dłoniach, na swoim sercu jej chryzmaty, one płoną... już nie jestem ślepcem błądzącym w ciemnościach, to wy jesteście ślepcami, wy jesteście głusi, wy jesteście niemi... partia jest światłem, jestem pomazańcem partii, jestem światłem, nie byłem faszystą – byłem świętym Janem, przepasano mnie bym występował hymn...

Słowa plątały mu się, obrazy mętniały, wreszcie rozszlochał się tuląc rozpaczliwie do pani Zofii. Był to jakiś, uczciwy, dokonywany pod wpływem zamroczenia alkoholowego, rachunek sumienia, ale osobiście przyjął te pełne niepokoju wizje jako groźne ostrzeżenie dla tych spośród nas, którzy na przekór faktom żywili jeszcze nadzieję.

Rozmowy z innymi aktywnymi towarzyszami były typowe, tzn. wszystkie zaczynały się „Po partyjnemu”:

- „Koleżanko Boniecka, jesteście przecież inteligentnym człowiekiem i wiecie że waszym obowiązkiem jest czynne włączenie się w budowę socjalizmu. Partia wzywa pisarzy do swych szeregów, najwyższy czas żebyście się znaleźli po odpowiedniej stronie barykady – i kończyły



chłodnym: - jak uważacie, ale, po koleżeńsku chcę wam poradzić żebyście się tak nie afiszowali z tym chodzeniem do kościoła. – Albo: - oczywiście, to już od was zależy, ale, tak w cztery oczy, głównie obciąża was ten nieszczęsny tatuś-adwokat...że umarł przed wojną? No tak, ale zawsze...”

[Pamiętam w tym względzie charakterystyczny fakt: w owym czasie buszował w Szczecinie tow. Witold Wirpsza – późniejszy autor „Dziennika Kożedo”, oficjalny piewca „dławionej przez imperializm Korei walczącej”, nagradzany i odznaczany wielokrotnie poeta, dramaturg i publicysta PRL, osobnik który szczególnie się wslawił w okresie Października, jako jeden z gorliwszych prowokatorów działających z inspiracji partii w tygodniku „Po Prostu”, dziś – zasłużony klasyk socrealizmu, uczestnik międzynarodowych zjazdów pisarzy, „śmiały i odkrywczy teoretyk marksistowskiego ujmowania sztuki”: - w tamtych „zielonych latach” Polski Ludowej, Witold Wirpsza, „podopieczny samego Leona Kruczkowskiego”, rozpoczął swą wielką karierę od małych, ale obrzydliwych nadużyć, naciągów i szantaży, przy czym działał bezkarnie, bo ludzie bali się go i jego „warszawskich możliwości”. Otóż tego to Wirpszę, nie licząc się z nikim i z niczym, w obecności wielu świadków, zwymyślał Borkowicz od „błaznów, rozwydrzonych gówniarzy, śmieciarzy i bezczelnych parszywych łobuzów”. †]

Odbyli ze mną takie rozmowy i koleżanka Nina Rydzewska i kol. redaktor Daukszta i tow. Macużanka z KC i wielu innych. Nie mogłam, nie wolno mi było powiedzieć tego co myślałam – musiałam udawać naiwną, albo idiotkę, dyskutować, wymyślać kłamstwa, w sumie pogardzać sobą.

O wiele mniej angażujące były propozycje z tzw. pozycji praktycznych.

[Mistrzem w prowadzeniu takich rozmów była pani Marysia Andrzejewska. Prawie co dnia spotykałyśmy się przez kilka lat w

tramwaju czy autobusie i zawsze, od początku usiłowała mnie przekonać, że „to” się opłaca.

- Np. Sprawa przeniesienia się do Warszawy, niby nic, a jednak tysiąc komplikacji, dzielnica, piętro, rozkład pokoi, człowiek by oszalał, gdyby nie partia, wszystkim się zajęli, naprawdę nie mam słów...Chce pani schabu, albo masła? jadę właśnie do KW, tam zawsze coś mają, a może kupić pani prześcieradeł? Albo parówek, w ubiegłym tygodniu były pyszne. †]

Tymczasem partia działała coraz sprawniej, coraz skuteczniej. Równoległe do policyjnego terroru, czyniącego swoje bezwzględne i brutalne, zaczyna się masowe niewolenie umysłów przez precyzyjnie przygotowaną akcję nazwaną szkoleniem ideologicznym. Do wykonania tego gigantycznego planu powołuje się instruktorów politycznych, pisarzy, naukowców, oficerów, prawników, organizacje młodzieżowe, instytucje i związki, komitety blokowe, zarządy fabryk i GPR-ów. Ludzie zmęczeni pracą, wystawianiem w kolejkach, nieopisanymi trudnościami transportowymi, niedożywieni, zastraszeni – są poddawani metodycznie, jeszcze jednej wyrafinowanej udreće. Szkolenie odbywa się na masowo zorganizowanych kursach i wykładach przed i po godzinach pracy, w przerwach obiadowych, w niedziele, w czasie urlopów i wakacji; nasycą się nim programy szkolne, odczyty, zebrania, masówki, wiece, literaturę, programy teatralne i radiowe, filmy, pieśni, wszystko, wszystko. W praktyce teorie marksistowsko-leninowsko-stalinowskie łącznie z komentarzami Bieruta ulegają wulgaryzacji a normalną mowę ludzką wypiera bełkot partyjny, „drętwa mowa”.

Pamiętam, jak będąc wykładowcą na Studium Przygotowawczym przy politechnice szczecińskiej musiałam, jak wszyscy koledzy, pod ścisłą kontrolą, według dostarczonych wzorów komponować (dawne podręczniki wycofano – nowych jeszcze nie było) materiały do rozbiorów gramatyczno-logicznych, dyktanda, tematy prac pisemnych, zadania matematyczne, nawet teksty łacińskie opierając się na cytatach z dzieł klasyków marksizmu obrazujących osiągnięcia Kraju Rad, ewentualnie wykorzystując dane z broszury pt. „Nasz Plan Sześćioletni”, również ze szczególnym podkreśleniem pomocy i wzorów Kraju Rad, przy czym

godziny historii, geografii gospodarczej, ekonomii itd. były poświęcone wyłącznie „utrwalaniu nowego światopoglądu”. Szkoleniu podlegali absolutnie wszyscy od profesorów do słuchaczy kursów dla analfabetów, od przedszkolaków do starców.

Osobiście musiałam przejść przez dwustopniowy kurs ideologiczny i zdać odpowiednie egzaminy, a że jako członek Związku Literatów, automatycznie byłam prelegentem, mogłam z bliska poznać program i metody działania partii, jej okrutny automatyzm. Doraźnym celem partii było: wychowanie nowego człowieka dla nowej rzeczywistości. Programem wiodącym do owego celu – ugruntowanie w społeczeństwie „podstaw naukowych” – bezbłędnie opanowanie „Historii WKPB (b)”, historii ruchów robotniczych w Polsce, podstawowych zasad filozofii materialistycznej i ekonomii marksistowskiej oraz – zaszczepienie w nim i pogłębienie miłości do Związku Sowieckiego i Stalina.

Posyłano mnie więc z odczytami do szpitali, zakładów dla chroników, sanatoriów, więzienia, szkół milicyjnych, rekrutów, bibliotekarzy i studentów. Miejska Rada Narodowa zleciła mi nawet cykl pogadanek w Domu Rencistów (bo tak się teraz nazywają przytulki dla starców), pogadanek, które by „pogłębiły i ugruntowały w pensjonariuszach zasady filozofii materialistycznej i wykorzeniły zabobony – pozostałość epoki kapitalizmu”, przy czym kierownik Wydziału Kultury i Sztuki tejże Miejskiej Rady tow. Maria Krzyżanowska tak mi bliżej sprawę wyjaśniła:

- Jakichś ołtarzyków sobie nastawiali, kwiatami stroją, a co drugi to z medalikiem paraduje...nie chcemy krzyków, bo to stare, zdziecinniałe, ale tak mądrze z sercem...kolezanko.

Cały rok chodziłam na Arkońską, do bardzo zaniedbanego, wilgotnego i ponurego Domu Rencistów i czytałam biedakom nowele Konopnickiej i Sienkiewicza, pisałam listy i podania, aż ktoś zadenuncjował mnie i *szkolenie* rencistów powierzono komu innemu.

Do dziś umiem piosenki, które śpiewały moje 2-4-letnie córeczki w przedszkolu:

*Kochamy ciebie, nasz dobry Stalinie,  
co dajesz tatusiom chleb.  
co uczysz nas kochać i kwiatki i róże...*

albo:

*Dziś nam słońko pięknie świeci,  
serca biją nam jak dzwon.  
dziś Stalina imieniny  
bim-bom, bim-bom, bim-bom...*

piosenki, których moralnego sensu, mimo całej absurdalności zestawienia, nie wahałabym się wywieść ze wstrząsającej poezji „urzeczonego komunizmem” Brechta, który już w 1931 r. pouczał ludzkość:

*...utarzaj się w błocie, uściskaj kata, ale zmień oblicze  
świata.  
Świat potrzebuje tego.*

(z dramatu „Wymiar kary”)

A i my – ludzie dorośli – aby żyć, musieliśmy nieustannie indywidualnie albo chórem skandować:

*Synowie Rewolucji! O serca Dwóch Wodzów Najmędrszych,  
co was wywiedli na słońce z ciemnoty, krzywdy i jaskiń  
śpiewem,  
Wznoszą tę pieśń, jak puchar: Za Naród Stu Narodów!  
O tobie wschodzie słońca, a Tobie Słońce Wschodu –  
śpiewam...*

(Julian Tuwim „Ex Oriente”, 1950)

Copyright © Maria Magdalena Budzynowska 1975

*Myśli wyprzedzą czyny,  
Czyny legną opoką...  
Chwała imieniu Stalina!  
Pokój świata, pokój...*

(Władysław Broniewski: „Słowo o Stalinie”, 1949)

*Wszyscy na CIEBIE patrzą, wszyscy CIEBIE sławią...  
Ale kiedy mi ciężko i kiedy się gubię,  
Myślę zawsze o TOBIE...  
i wiem że TY masz rację i ta myśl  
...jest jak powiew wiosenny na śnieżnej równinie,  
jest jak olśnienie światłem w poranek wiosenny...*

(Jarosław Iwaszkiewicz: „List do prezydenta Bieruta”, 1952)

Z działalnością pisarzy, już przez Stalina mianowanych „inżynierami dusz”, wiązała partia od samego początku wielkie nadzieje. W styczniu 1949 r. na IV Zjeździe Związku Literatów Polskich w Szczecinie tow. Jerzy Putrament nakazał nam w imieniu władz „nasilić znacznie ofensywę myśli marksistowskiej i wzmóc walkę w dziedzinie twórczości literackiej z idealistycznymi elementami starej nadbudowy”. W rok później, na konferencji literackiej w Radzie Państwa do tematu tego wrócił tow. Bierut dyktując przy sposobności tzw. program konstrukcyjny:

*Nie wolno się nam zadowalać dotychczasowymi osiągnięciami...i dlatego, w literaturze, w malarstwie, teatrze, w muzyce i w filmie jeszcze usilniej czerpać winniśmy z nieocenionego dorobku artystów i uczonych Wielkiego Kraju Rad, Kraju Zwycięstwa Socjalizmu.*

(„Nowe Drogi” nr 1/1951)

Co wrażliwi, spośród entuzjastów „nowej rzeczywistości” odpadli natychmiast (np. kol. Tadeusz Borowski), inni w następnych etapach (koledzy: [Stanisław] Piętak, [Wilhelm] Mach...), reszta, „stając w szeregach partii, albo krocząc u jej boku, zaczęła kształtować, porywać i wychowywać naród”. (Bierut: „O upowszechnieniu kultury” 1948). Komunizm, owo picassowskie „źródło życia”, stawał się na co dzień dla olbrzymiej rzeszy ludzi zatrutą rzeką, z której nie sposób pić bezkarnie, najpierw odurzał, obezwładniał, później prowadził do skrajnej korupcji umysłowej, wreszcie degenerował.

Niektórzy socjologowie amerykańscy twierdzą że to nie teoria marksistowska rodzi komunistów, ale pewne indywidualne skłonności czynią ludzi wrażliwymi na zawartą w niej rewolucyjność, pobudzającą do działania. Możliwe że klimat tamtych lat nasycony w pełni komunizmem spowodował takich właśnie, szczególnie predestynowanych do roli rewolucjonistów, do tragicznych „bojów i potyczek”<sup>3</sup> z własnym narodem, po stronie partii i Sowietów.

Dla ostatecznej demoralizacji społeczeństwa sięgnięto po wypróbowany sposób – rozsadzanie go od wewnątrz. Batalię tę partia rozegrała bezbłędnie. Na wykonawców tego długodystansowego planu powołano: część duchowieństwa, tysiące nauczycieli, pisarzy, intelektualistów, ludzi, których dotychczasowa pozycja, wiedza, talent, dorobek twórczy, budziły powszechny szacunek i nieograniczone zaufanie.

---

<sup>3</sup> Z „Wojny skutecznej” Jerzego Andrzejewskiego

[Jerzy Andrzejewski w okresie kiedy mieszkał w Szczecinie był moim bliskim sąsiadem. I jego i panią Marysie, ich dzieci i ojca Jerzego spotykałam codziennie, ale nie doszło między nami do bliższej znajomości. Jako pisarza ceniłam go i cenię niezwykle wysoko, ale przecież nie o to tu chodzi. Pobyt w Szczecinie precyzuje ostatecznie postawę autora „Popiołu i diamentu”, a publikacje książek: „Partia i twórczość pisarza”, „Ludzie radzieccy”, „Moje wrażenia z podróży do ZSRR”, „Wojna skuteczna” obok cyklu „sławnych czerwonych felietonów” drukowanych w oficjalnym organie KW Partii – „Głosie Szczecińskim”<sup>4</sup> wpisują go na trwałe, listę najżarliwszych apostołów nie tylko komunizmu, ale i Sowietów. †]

Moje prywatne sprawy układały się kiepsko: jeden ze słuchaczy Studium złożył na mnie donos w UB, a że był to już drugi – zostałam wezwana „na rozmowę”. Śledztwo prowadził tow. Mazur (późniejszy dygnitarz KC), wyjątkowo ordynarny i prymitywny „członek aparatu”. Nawymyślał mi od burżujskiej padliny i inteligenckiego gnoju i zagroził:

- Jak nie przestaniecie czekać na Związek Radziecki – to was przymkniemy! (donos dotyczył mojej, dość negatywnej oceny książki Wasilija Ażajewa „Daleko do Moskwy 1949”) – ale mojej rezygnacji z posady nie przyjął.

- To już do nas należy, zwolnimy was, jak się n a m będzie podobało.

Od dawna narastał we mnie bunt przeciwko narzuconym szkole przez partię metodom pedagogicznym i programom , ale dopiero po spotkaniu z tow. Mazurem, postanowiłam nieodwołalnie skończyć z zawodem nauczycielskim, a kiedy i dziekanat odrzucił moje podanie o zwolnienie, zwróciłam się o pomoc do Związku Literatów.

Prezesem oddziału był właśnie Andrzejewski. Zajął się moją sprawą, wyreklamował ze Studium, a nawet, sam z siebie, załatwił mi

---

<sup>4</sup> Wydane w książce pt. „Ludzie i zdarzenia” – 1951

pracę w rozgłośni. [Na krótko przed przeniesieniem się Andrzejewskich do Warszawy rozmawiałam z nim po raz ostatni. W willi na Głębokim. Gabinet kol. Jerzego był zastawiony ponemieckimi antykami, na biurku w starochińskiej wazie złożyły się przepiękne olbrzymie dalie, które ku zazdrości sąsiadów hodowała pani Marysia. Każde słowo sprawiało mi niewymowną przykrość. Usiłowałam nie patrzeć na mówiącego, na jego wyniosłe czoło, na okryte okularami, utkwione we mnie oczy, rasowe, niespokojne ręce. Dlaczego on to wszystko mówił? Jakbyśmy się oboje zapadali w grząskie błoto...Naraz, cisza panująca na tarasie, w ogrodzie, w całym rozległym domu wydała mi się czymś nie do zniesienia, zapragnęłam głosów, krzyku dzieci, hałasów ulicy, jakichkolwiek dźwięków, które by stłumiły wreszcie te wszystkie – „natchnienia inspirowane przez materializm dialektyczny”, te budzące grozę zestawy nazwisk – „Kościuszko-Świerczewski, Mickiewicz-Dzierżyński”, te wyświechtane przymiotniki – „niezłomna, oportunistyczny, dialektyczne, zgniły”...<sup>5</sup> Ale cisza trwała niezmacona i musiałam wysłuchać do końca tego co mi chciał powiedzieć. Ale właściwy flirt owego spotkania miał miejsce znacznie później i w zupełnie innych okolicznościach.

Najpierw, jakoś na wiosnę 1960 był mój odczyt w Słupsku, w Liceum Pedagogicznym, w dwa lata po wizycie u kol. prezesa. †] Tematem wieczoru był „Popiół i diament”. Po bardzo ożywionej dyskusji (młodzież była inteligentna i ocytana) część uczniów się rozeszła, a kilkunastu – „kółko polonistów” zaprosiło mnie do swego „kąta” w pokoju bibliotecznym.

I nagle zdarzyło się coś, czego nie przewidziałam, co zdarzyło mi się po raz pierwszy: młodzież zaczęła mówić szczerze, gorąco, zaczęła namiętnie atakować pytaniami, żądała prawdy.

Przy ówczesnym systemie szpiclów i prowokatorów ryzyko było olbrzymie i obustronne, ale bez wahania zaufałam intuicji.

- Za co ludzie cenią pisarza? Za słowa prawdy – zacytował któryś młody z pamięci Arystofanesa – za dobrą radę i za to że czyni on rozumniejszymi i lepszymi obywateli ojczystego kraju...

---

<sup>5</sup> Jerzy Andrzejewski „Partia a twórczość pisarza” „Czytelnik” 1952



- Jak daleko sięgają granice kłamstwa, obłudy i moralnego szantażu współczesnego polskiego pisarza?

- Gdzie zaczyna się odpowiedzialność moralna tych ludzi i kto będzie egzekutorem tej odpowiedzialności?

[Sięgnęli do szafy bibliotecznej i z otwartej na chybił-trafił książki zaczęli na głos czytać:

*Człowiek, którego Światopoglądem jest marksizm, nie szarpie się w samotności. Nie pragnie kłamstwem osłonić się przed prawdą świata...Podłość odróżni od odwagi. ...Ucisk znienawidzi...Wolność pokocha. Wzrastaniu ludzkiej godności zechce służyć... Partia wykazuje troskę i szacunek dla każdej indywidualności...Partia wspiera bezpartyjnych w dojściu do pełnej wolności...*

Jakbym znienacka otrzymała celnie wymierzony cios. Znałam doskonale, tę książkę.<sup>6</sup>

Dostałam ją podczas tamtego pamiętnego spotkania razem z życzeniami autora: „bardzo bym się cieszył, gdyby to Wam pomogło w zbliżeniu do Partii” i uprzejmą dedykację: „Miłej i Drogiej Koleżance Bonieckiej...”

- Dlaczego pisarze piszą takie książki?

- Dlaczego ludzie się hańbią? Czy i my – przyszli nauczyciele- musimy tak samo zapierać się samych siebie? Lżyć bohaterów i kochać morderców?

- Utopić się w tej przeklętej dialektyce, odczłowieczyć? Czy nie można jakoś inaczej, jakoś lepiej żyć? †]

---

<sup>6</sup> J. Andrzejewski „Partia a twórczość pisarza”

Byłam tak samo, nieszczęśliwa i zagubiona, tak samo zagrożona i bezsilna jak oni. Na pewno – wiedzieliśmy tylko jedno: jawny bunt to samobójstwo; chodziłoby więc już tylko o wyznaczenie granic upodleniu.

Spotkanie z bibliotekarzami gromadzkimi w Z. w powiecie Myślibórz należało już do zupełnie innej epoki. Był maj 1964 r., kiedy to mimo milczenia prasy cała Polska komentowała tzw. „List 34”, przy czym dyskutanci wypowiadali bardzo różne opinie. Tak było i w Z. Po części oficjalnej, przy lampce wina ten i ów nabrał odwagi. Zaczęli jak zwykle, od narzekania na warunki miejscowe, aż ktoś zapytał wręcz:

- Czy to prawda, bo my tu na wsi niewiele wiemy, że się pisarze zbuntowali?

A ktoś inny dorzucił:

- To znaczy pisarze i uczeni dali hasło do rewolucji.

Czy to prawda że się w Warszawie zaczęła już rewolucja?

Natychmiast wystąpiono z repliką;

- Rewolucja? Chcieliście, kolego, powiedzieć „nowa prowokacja”, a i cały ten list – też wielka lipa, więcej szumu jak pożytku. Pisarze? A nie ma wśród nich takich, co skakali z lewa na prawo?

- Co racja, to racja – dokładali inni z ironią, goryczą, albo mściwą uciechą – skakali bojownicy, że hej! Tyle że ludzie pamiętają co wyrabiali i kim byli za Stalina...

Tak, 1964 r. to już była inna epoka: czasy powszechnej niewiary i pogardy, czasy rezygnacji i apatii. Młodzież, która 10 -15 lat temu w poważnej swej części, w sposób wręcz heroiczny usiłowała ocalić w sobie godność ludzką, została bezlitośnie, cynicznie oszukana, złamana czy wręcz unicestwiona,<sup>7</sup> przy czym nie wolno zapominać że procesu zgnojenia pokolenia dokonała partia przy jak najczynniejszej współpracy zdawałoby się najlepszych, najbardziej godnych spośród nas.

---

<sup>7</sup> Pierwsze lata reżymu komunistycznego w PRL to niekończące się procesy przeciw młodzieży: w Kaliszu, Poznaniu, Warszawie, Łodzi itd.

Wkrótce po XX Zjeździe KPZR zorganizowano ogólnopolski Zjazd Towarzystwa Wiedzy Powszechnej w Warszawie.<sup>8</sup> Zjazd ten, pod wpływem paniki i dezorientacji jaka zapanowała wśród towarzyszy, zamienił się w publiczny proces przeciwko szczególnie obciążonym „błędami i wypaczeniami”. Na Zjeździe tym byłam świadkiem ataku na prof. Tadeusza Kotarbińskiego, któremu na podstawie jego własnych, drukowanych tekstów, oraz „wewnętrznych zestawień kasowych” zarzucano „uprawianie przy każdej okazji kultu Stalina, nadużywanie stanowiska uczonego i prezesa PAN dla propagowania fałszywych naukowo tez Micziuryna i Łysenki, wypłacanie sobie poważnych sum z funduszków publicznych pod pozorem organizowania wystaw, zjazdów itp.” I muszę wyznać że doznałam wstrząsu, słuchając obrony oskarżonego polegającego na oskarżaniu o to samo kolegów – luminarzy polskiej nauki.

Słyszałam również przemawiającego prof. Artura Górskiego, profesora, którego szczerze admirowałam jeszcze z czasów studenckich, podejmowanego w Klubie Dziennikarzy z racji przyznanej mu przez PAX nagrody. Sławił w sposób niegodny uczonego i Polaka, nie tylko partie i ustrój komunistyczny, ale i „przodujący Kraj Rad, prawdziwą najwyższą wolność, nieznaną w dziejach świata.”

Słuchałam niezliczonych wystąpień publicznych i czytałam, jak czytaliśmy wszyscy – Gustawa Morcinka, Igora Neverly’ego, Brandysów, profesorów: Leśnodorskiego, Kołakowskiego, Jana Kotta, pouczających nas zgodnie, że wartościowanie czynów – a tylko „czyny, nie ludzie mają istotne znaczenie – odbywać się winno jedynie i wyłącznie wedle ich społecznej użyteczności, której miarą jest obiektywna nauka o rozwoju społeczeństw – marksizm”<sup>9</sup>; uczestniczyłam z okazji jubileuszów w uroczystościach dekorowania przez premiera Cyrankiewicza, w imieniu partii i rządu PRL, pisarzy tej miary co Zofia Nałkowska, Maria

---

<sup>8</sup> Towarzystwo Wiedzy Powszechnej utworzone zostało na mocy Rozporządzenia Rady Ministrów z dnia 5 maja 1950 r. Rozporządzenie to opublikowane zostało w Dzienniku Ustaw Nr 22 z 1950 r. pod pozycją 191. Podpisał je ówczesny prezes Rady Ministrów Józef Cyrankiewicz.

<sup>9</sup> Jan Kott; felieton „po prostu” druk w „Odrodzeniu”, 1945

Dąbrowska, Jan Parandowski i słuchałam ich pełnych wzruszenia podziękowań pod adresem tejże partii i tegoż rządu; wiedziałam, bo nikt tego w Związku Literatów nie ukrywał, o wysokich dotacjach miesięcznych przyznawanych przez Ministerstwo Kultury poszczególnym kolegom, o „ideologicznym przetargu przydatności” decydującym o przydziale mandatów poselskich, posad na placówkach zagranicznych, stanowisk redaktorskich itp.

Żyliśmy niby w olbrzymim kotle, którego wieko dociskano z precyzją i potworną siłą; każdemu kto nie chciał, albo nie potrafił znaleźć się na zewnątrz, groziło nieuchronne uduszenie.

Co do mnie, przyznać to muszę bezstronnie, partia wykazywała wiele cierpliwości. Jeszcze w 1951 r. szczeciński KW proponuje mi wykłady w liceum wieczorowym dla pracowników UB, następnie otrzymuję ponętą ofertę od tow. ministrowej Bronisławy Skrzyszewskiej, która chce mi „zaufać i powierzyć stanowisko dyrektora departamentu szkół wyższych”.

Moja krnąbrność zmusza władze do zmiany taktyki. Zaczyna się od rewizji. Przychodzą zawsze w nocy i przetrząsają dom od piwnic do strychu (do dziś nie mam pojęcia czego szukano), trwa to godzinami przy niemilkącym płaczu brutalnie budzonych dzieci, rewizji takich jest wiele i jest w nich coś ogłupiającego i koszmarnego zarazem. Równocześnie kwaterunek występuje przeciw mnie z wnioskiem o „ograniczenie powierzchni mieszkaniowej”<sup>10</sup>, co powoduje lawinę niekończących się spraw w kolegiach, komisje, wizje lokalne, przesłuchania itp., mój mąż zostaje zwolniony z pracy, następnie aresztowany i przetrzymywany<sup>11</sup> pod pozorem „podejrzanej przeszłości” (był żołnierzem V dywizji syberyjskiej, następnie działaczem harcerskim), moje rękopisy latami leżą w redakcjach, na wieczorach i odczytach jestem gwałtownie atakowana przez prowokatorów, wreszcie mój syn – uczeń XI klasy V Liceum Ogólnokształcącego na trzy miesiące przed maturą zostaje zamieszany w

---

<sup>10</sup> w archiwum córki

<sup>11</sup> w podziemiach przy ulicy Kaszubskiej w Szczecinie

proces zaaranżowany przez KW przeciw grupie młodzieży szkolnej, „nosicieli zachodniej zarazy”.

Ale tymczasem umiera Stalin i choć z pewnym opóźnieniem, nasi towarzysze partyjni, ulegając nastrojom panującym w ZSRR inspirują zupełnie nowy kurs, który stawia mnie przed jeszcze jedną szansą.

Sekretarzem propagandy KW w Szczecinie jest, w tym pełnym wibracji czasie, tow. Ludwik Krasucki<sup>12</sup>, o którym się gorliwie informuje społeczeństwo że „należy do grupy młodych, uczciwych komunistów, szczerze dążących do demokratyzacji i pełnej suwerenności”, w rzeczywistości jest on związany z „grupą puławska” (Berman, Zambrowski, Minc, Matwin), walczącą na śmierć i życie z „natolińcykami” (Kłosiewicz, Józwiak, Nowak) o przechwycenie władzy w partii. W celu skompromitowania przeciwników grupa puławska montuje na gwałt dławioną dotychczas bezlitośnie opinię publiczną, a zabiegając o popularność głosi nie tylko program radykalnych reform, ale obiecuje natychmiastowe, sprawiedliwe ukaranie winnych. Uruchamia się pospiesznie wszelkie środki masowego przekazu, poluje się na ludzi cieszących się jakim takim zaufaniem. Któregoś dnia odwiedził mnie (sytuacja w PRL wręcz niebywała, w najlepszym razie, takich jak ja – wzywa się do partii, praktycznie, mimo wielokrotnych usilnych starań, ani razu nie udało mi się uzyskać widzenia, już nie z sekretarzem KW, ale pierwszej lepszej komórki przy zakładzie pracy) wspomniany tow. Krasucki i w przyjacielskich słowach, w imieniu partii, ofiarował stanowisko redaktora naczelnego organizowanego właśnie w Szczecinie tygodnika społeczno-literackiego „Ziemia i Morze”.

- Partia – wywodził cierpliwie – zawsze was ceniła, zawsze miała do was wielkie zaufanie. Nikogo innego nie chcemy. Jesteście potrzebna

---

<sup>12</sup> Marksista. Obecnie współredaktor „Trybuny Ludu” – organu KC, wślawiony pierwszym publicznym potępieniem marksistowskiego filozofa prof. Leszka Kołakowskiego za „rewizjonistyczne odchylenia” w r 1957, poparty gorąco przez Gomułkę na spotkaniu dziennikarzy. W Szczecinie L.K. uchodził za superrewizjonistę.

społeczeństwu, Szczecinowi, Ziemiom Zachodnim, nie wolno wam odmawiać, nie wolno wam zdradzać swego miasta, swej ojczyzny, ludzi, którzy na was czekają, którzy wam wierzą, nie macie prawa...

Instynkt ostrzegał mnie i tym razem, instynkt i doświadczenie, ale – z jednej strony miałam nadzieję że tygodnik będzie mógł w pewnym przynajmniej stopniu pozytywnie służyć społeczeństwu, z drugiej – byłam już tak zmęczona, tak zaszczuta, tak wytresowana, że po kilku tygodniach oporów i nalegań – zgodziłam się.

Tygodnik „Ziemia i Morze” był w sumie wydarzeń październikowych tylko drobnym epizodem, a i jego krótkie dzieje nie zawierały w sobie nic szczególnego; był potrzebny dla oszukania opinii publicznej, i po spełnieniu zadania został natychmiast zlikwidowany, podobnie jak wiele innych czasopism tego samego typu. Tyle że przy sposobności miejscowe władze partyjne, w których gestii pozostają wszystkie redakcje w PRL, mogły w sposób udokumentowany zdemaskować ostatecznie „wrogów Polski Ludowej”. Właśnie jako „wróg Polski Ludowej” już na wiele miesięcy przed likwidacją pisma zostałam wyrzucona z redakcji. Wszystko odbyło się jak najformalniej: wniosek o usunięcie mnie ze stanowiska „naczelnego” zredagowali i przesłali do KW partii moi koledzy redaktorzy (wszyscy!) stwierdzając że: „dotychczasowy redaktor naczelny – Maria Boniecka nie dość usilnie przeciwstawiała się błędnym tendencjom... ponieważ brak jej odpowiednich walorów ideowych...” (protokół z 7 grudnia 1957)<sup>13</sup> a następnie zostałam zaproszona do KW, gdzie wyliczono mi dokładnie wszystkie „niepoczytalne posunięcia godzące w rząd i partie” inspirowane rzekomo przeze mnie na łamach tygodnika. Czego się nie dopuściłam? W czym nie brałam udziału? Były i „siuchy z emigracją” i „fałszowanie sprawy węgierskiej” i „brednie o Poznaniu” i „bzdury pod adresem Związku Radzieckiego”... zarzucono mi nawet wprost „podżeganie i współdziałanie przy podpaleniu konsulatu radzieckiego w Szczecinie”.

W krąg spraw tygodnika „Ziemia i Morze” wpisać by można również dzieje mego procesu karnego.<sup>14</sup>

---

<sup>13</sup> w archiwum córki

<sup>14</sup> w archiwum córki

Tuż przed usunięciem mnie z redakcji napisałam i ogłosiłam artykuł dyskusyjny pt. „Kto ponosi odpowiedzialność?”<sup>15</sup>. Chodziło o zdemaskowanie niejkiej - Ireny Banach-Bochniak, lektorki języka rosyjskiego w szczecińskiej Wyższej Szkole Rolniczej i kierowniczkę Ośrodka Metodycznego tegoż języka – jako prowokatora z lat okupacji, zbrodniarza hitlerowskiego, którego ofiarami byli Żydzi, Polacy, Ukraińcy, osobę osłanianą przez władze, sekretarza KP w Barlinku, pracownika UB, demoralizującą młodzież jawnie uprawianym nierządem, wykonywującą notabene swój zawód nauczycielki na podstawie sfałszowanych dokumentów. Drastycznym szczegółem całej tej historii był fakt że tow. Banach-Bochniak była już przed laty rozpoznana i przekazana prokuraturze szczecińskiej i że UB, którego była konfidentką, natychmiast sprawę umorzył, terroryzując oskarżycieli i świadków pogroźkami i doraźnymi represjami.

Do wystąpienia w prasie namówiła mnie moja serdeczna przyjaciółka, która okazała się następnie prowokatorem działającym na bezpośrednie zlecenie Warszawy. Rzeczony Banach-Bochniak i jej sprawy nie znałam, ale sam problem: „wychowawcy i nauczyciela młodzieży” wydał mi się istotny. Odwiedziłam wiele miast, aby odnaleźć ludzi, którzy znali Banach-Bochniak na terenie Kamionki Strumiłowej w latach 1939-1945, następnie szukałam jej uczniów i kolegów szczecińskich – ofiar wydanych UB, dokumentów i opinii. Ludzi znalazłam, materiały zebrałam, artykuł się ukazał.

Pierwszym dowodem na to że uległam prowokacji był fakt przygotowania procesu przeciwko mnie, w jego najdrobniejszych szczegółach, na kilka tygodni przedtem, nim artykuł został wydrukowany, nim go w ogóle napisałam, następnym – zwekslowanie sprawy na tory polityczne: formalnie oskarżyła mnie o obrazę czci Banach-Bochniak, praktycznie zaatakowało mnie Towarzystwo Ukraińskie imputując „wyrafinowane, charakterystyczne dla pewnych

---

<sup>15</sup> w archiwum córki

elementów podsycanie nienawiści w stosunku do mniejszości narodowych”. Oskarżycielka, o czym nie miałam pojęcia, była Ukrainką (do 1939 r. była Polką, w czasie okupacji Niemką) i wiceprezesem wspomnianego towarzystwa, co mistrzowsko wyzyskano.

Proces, by nie dopuścić do ujawnienia przed społeczeństwem zeznań ponad 50 świadków, toczył się z polecenia partii przy drzwiach zamkniętych. Trwał kilka miesięcy. Zastosowano wszystkie chwyt: prasa szczecińska rozpoczęła charakterystyczną kampanię, łącząc systematycznie proces przeciwko mnie z toczącymi się równocześnie rozprawami przeciwko popularnym w Szczecinie bandytom i złodziejom, pozbawiono mnie jakichkolwiek zarobków, otrzymywałam setki anonimów i telefonów z pogrózkami śmierci, podpalenia, porwania dzieci itp., wznowiono denerwujące nocne rewizje, poddano niekończącym szykanom.

Ostatecznie, na skutek niezbitych dowodów rzeczowych i co więcej, zeznań świadków, ocalałych ofiar oskarżycielki, albo ich rodzin, a przede wszystkim dzięki temu że partia po październikowych wstrząsach nie zdażyła jeszcze na dobre okrzepnąć, że w jej organach terenowych panowała jeszcze pewna dezorientacja – sprawę w sądzie wygrałam, ale równocześnie swoją sprawę z partią przegrałam ostatecznie.

Bo partia, i to jest pewne jak śmierć, jakiegokolwiek by tam w niej panowały nastroje, nigdy nikomu nie przebacza.

Zresztą był to już właściwie koniec wielkiego przedstawienia: zamknięto „Po Prostu”<sup>16</sup>, zaczęto czystki w prasie z reformatorów – „elementów wrogich”, reaktywowano Urząd Bezpieczeństwa, zaaresztowano kilkaset osób z okazji demonstracji warszawskich, do rządów powołano starych, wypróbowanych aparatczyków, a tych co się upierali przy iluzjach przywołał do porządku sam tow. Gomułka pouczając surowo:

---

<sup>16</sup> Październik 1957

(„Po Prostu”, było pismem jednoczącym tych, którzy chcieli zmian w systemie a nie zmian systemu)



„Towarzysze! Sumieniem klasy robotniczej jest partia, są komuniści...My sobie będziemy, tak myślą niektórzy, korzystać z wolności słowa, będziemy pisać co się nam podoba, rozbijać naród, będziemy go gangrenować politycznie, pod hasłem, czy pod płaszczykiem walki z gangreną. Dlatego trzeba powiedzieć: nastał czas wyboru, albo z partią, albo przeciwko partii...Sprawa jest jasna. Dyskusje się skończyły. Teraz będziemy wyciągać konsekwencje partyjne i polityczne<sup>17</sup>.

Tak, tak, musimy to wreszcie zrozumieć i zapamiętać raz na zawsze że i „ty towarzyszu i ja możemy się mylić, ale partia nie myli się nigdy. Partia, towarzyszu przerasta nie tylko mnie i ciebie, ale i tysiące nam podobnych...linia partii przypomina wydeptaną, wąską ścieżkę w górach ; najmniejszy fałszywy krok i wpadasz w przepaść, powietrze tutaj jest rozrzedzone i biada temu kto zasłabnie...”<sup>18</sup>

Znalazłam się więc na „liście skazanych”. Teoretycznie istniała co prawda jeszcze jedna szansa – ucieczka za granicę, ale ta droga została mi zamknięta, nie pomogły żadne w tym względzie starania na przestrzeni pełnych ośmiu lat.

W końcu Komitet Wojewódzki zdecydował się na dziecinnie proste posunięcie.

Pewnego pogodnego dnia, zgłosił się do mnie sympatyczny młody sportowiec, zawodnik motorowy w skali międzynarodowej, niejaki J.O.<sup>19</sup> i zaproponował: on wprowadzi się do mego mieszkania, a następnie przejmie je na własność, ja – może to załatwić natychmiast i bez żadnych komplikacji – otrzymam paszport na stałą emigrację. Działał energicznie. Przez tydzień odwiedzał mnie codziennie bawiąc opowiadaniem o ojcu oficerze-legioniście zamordowanym przez bolszewików w Starobielsku, o swych podróżach do egzotycznych Indii, o sukcesach sportowych,

---

<sup>17</sup> Z przemówienia W. Gomułki na spotkaniu z dziennikarzami 5 października 1957

<sup>18</sup> Arthur Koestler: „Ciemność w południe”.

<sup>19</sup> akta sprawy, obdukcje lekarskie w archiwum córki

następnie, podstępem zajął mieszkanie, następnie ujawnił się i zapowiedziawszy lojalnie:

- Już ja ci dam radę, stara kurwo, albo ci się żyć odechce, albo siekierą zarabę, albo samochodem stuknę, bo wypadki po ludziach chodzą, nie po górach – przystąpił do akcji. Człowieka, któremu zawdzięczam ocalenie, spotkałam przypadkowo i w dość szczególnych okolicznościach. To było w czasie mego drugiego pobytu w szpitalu, do którego po raz pierwszy trafiłam z uszkodzonym kopniakiem „sportowca”, kręgosłupem,<sup>20</sup> po raz drugi – po swym nieudanym samobójstwie. Ten ktoś zgłosił się do mnie, i to było właśnie osobliwe, akurat wtedy, kiedy uznałam się za ostatecznie pokonaną i unicestwioną. Mijały dni i noce, a ja nie chciałam żyć, przy czym największą mękę sprawiała mi, naprzekór logice, nieustannie pulsująca w mózgu myśl, że to nie partia i UB były przyczyną mej klęski, ale świadomość obojętności świata dla istoty ludzkiej.

Właściwie nie znaliśmy się przedtem, choć jak się okazało z rozmowy, on dość dokładnie znał moją sprawę. Oświadczył że wie przez kogo można otrzymać paszporty, zastrzegając że będzie to operacja bardzo kosztowna, ale absolutnie pewna. Dał adres i szczegółowe wskazówki.

Takie są w olbrzymim skrócie i uproszczeniu doświadczenia moich dwudziestu lat życia w ustroju komunistycznym; tacy ludzie i takie sytuacje zadecydowały o tym że nie należałam do partii, że nie mogłam należeć.

Wybór odpowiednich elementów dla udokumentowania swych racji jest zawsze rzeczą drażliwą, wybrałam więc zasadę najprostszą: wynotowałam z pamięci to, czego czas nie zdołał zatrzeć czy złagodzić, to – czego wspomnienie ciągle jeszcze jest dla mnie najgłębszym przeżyciem.

---

<sup>20</sup> Operacja, jakiej się poddałam w Australii nie dała wyników, kalectwo okazało się trwałe.

**Uwaga:**

Teksty zaznaczone symbolem † usunięte z wersji książkowej przez Boniecką na sugestię wydawcy, pochodzą z dziennika „Nowy Świat (Polish Morning World)”, New York.